



PARADA

Wojenna



ROK I

NIEDZIELA, 14 LISTOPADA 1943 R.
SUNDAY, NOVEMBER 14, 1943

Nr 16

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mls., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 Rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d



W DNIU 11 LISTOPADA

11 listopada, spojrzenia nasze biegną na północ — ku dalekiej Ojczyźnie. Nie ma komunikatów z frontu w Polsce. Trudno sercem i myślą ogarnąć to pole bitwy tam w Kraju. Oderwane wiadomości, które nadchodzą do nas różnymi drogami, rzucają czasem snop światła — rozwidniają na chwilę tę niemiecką noc, która ciąży nad Polską. W Warszawie Jan Krysta wykonał wyrok na trzech gestapowcach, rzucając bombę na stolik kawiarniany, przy którym siedziało trzech niemieckich zbirów. Dziennik, który dziś przyniósł tę wiadomość nazwał Krystę...le heros de Varsovie. My wiemy, że w Kraju walczą przeciw Niemcom sami tacy jak Jan Krysta, wiemy, że strzały nie milkną od Września, jak i nie milkną salwy egzekucyjne w kaźniach Gestapo.

Nie ma komunikatów z polskiego frontu.

Nie ma pardonu w tej walce, nie ma mundurów, kwiatów, przemówień i manifestacji. Tak w milczeniu, szczerząc każdego uderzenia serca, każdego oddechu, walczy się o życie dziecka i swoje, walczy się o ziemię, z której się wyszło. Gdyby można, szlibyśmy z pomocą polskiemu frontowi już dziś. Przez te cztery lata nigdy nie żałowaliśmy nóg i serc w marszach i wędrówkach dalekich. Sojusznicze armie, brytyjska i amerykańska, stanęły już twardą stopą na kontynencie Europy. Z napięciem wpatrujemy się w postępy ofensywy brytyjskiej we Włoszech. Gotowi jesteśmy poprzez Apeniny pomaszerować do Kraju i chyba gdy raz poczujemy pod nogami grunt Europy, żadna nas siła już nie powstrzyma! Ten rozkaz, który padnie wyzwoli z nas burzę i gromy. Czekamy na ów upragniony rozkaz: „Kierunek — Warszawa. Marsz!”

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE
ROK I

PARADA

FORTNIGHTLY REVIEW OF
THE POLISH ARMY IN THE EAST

NIEDZIELA, 14 LISTOPADA 1943

№ 16



Bandera ORP „DZIK”. Biały pasek oznacza zatopiony statek handlowy, czerwony — zatopiony okręt wojenny. Swastyka z czterema pałkami oznacza zatopione niemieckie łodzie desantowe. Drugi z lewej — dowódca okrętu

ORP „DZIK” I ORP „SOKÓŁ” W WALKACH NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

REPORTAŻ WŁASNY „PARADY”

LAMBTON BURN

(Od naszego morskiego korespondenta)

Nasz morski korespondent spotkał w jednym z portów śródziemnomorskich równocześnie dwa polskie okręty podwodne „DZIK” i „SOKÓŁ”. Jednoczesne spotkanie się dwóch polskich okrętów podwodnych w jednym porcie należy do wielkich rzadkości i nasz korespondent morski Lambton Burn był świadkiem radosnego powitania się obu załóg. ORP „DZIK” i „SOKÓŁ” biorą od pierwszej chwili udział w ostatnich, wielkich operacjach morskich na Morzu Śródziemnym.

— Przygotować cztery torpedy!
Oficer wachtowy zagwizdał na alarm. Załoga szybko zajęła swe stanowiska bojowe. W kabinie kontrolnej „Dzika” panowała cisza, przerywana jedynie głosem kapitana, który wpatrzony w peryskop

podawał oficerom szczegółowe dane o ruchach nieprzyjaciela. „Dzik” znajdował się bardzo blisko portu, jedynego, który nadawał się do ewakuacji wojsk niemieckich z Korsyki. Od kilku dni obie polskie łodzie pod-

wodne „Dzik” i „Sokół” krążyły wokół portu w nadziei, że nieprzyjacieli podejmie próbę ewakuowania swych wojsk na ląd stały (do Włoch). Nie czekano na próśno. W pewnym momencie transportowiec załadowany wojskiem wypłynął z portu.

„Dzik” krążył wokół ostrożnie, czujnie — śledząc i czekając... Przez peryskop kapitan spostrzegł opuszczenie ciężkiego łańcucha i charakterystyczne bryzgi niebieskiej wody. Te szczegóły upewniły go, że transportowiec nie podejmie podróży samotnie, ale



Kapitan ORP „SOKÓŁ” schodzi na ląd po długich dniach spędzonych na morzu. Zwany krótko przez swoich angielskich przyjaciół „George”, pochodzi z krakowskiego



Pierwszy oficer ORP „DZIK” zwany przez kolegów „Toto”, pochodzi z Małopolski Wschodniej

że i inne statki dołączają do niego na płytkich wodach poza portem.

„Dzik” podpłynął bliżej portu. Nagle kapitan, jakby tknięty przecuciem, zmienił kurs i szybkość. Naprzeciw „Dzika” płynął średniej wielkości transportowiec załadowany do ostatniego miejsca niemieckimi żołnierzami. Przepłynął w odległości 700 jardów, prując ciężko wodę z zamiarem dołączenia do reszty konwoju.

— Kurs nieprzyjaciela! — padł rozkaz kapłana.

— Szybkość nieprzyjaciela!

Oficer nawigacyjny pochylony nad mapą i oficer torpedowy nie spuszczały oczu z instrumentów kontrolnych, słuchali uważnie ostatnich szczegółowych wskazówek kapitana.

— Kąt biegu... — Dowódca „Dzika” wydawał rozkazy spokojnie, bez podniecenia. Jeszcze chwila i pada rozkaz:

— Pał!

Cichą toń wody przecięły dwa pociski, by ugodzić śmiertelnie wroga. Jeszcze jedno wyzwanie od niezwyčajonych Polaków.

— W dwadzieścia minut później wysłaliśmy jeszcze dwie „blaszane ryby” w zakotwiczony niemiecki transportowiec — dodał porucznik, który opowiadał mi o ostatnim epizodzie. — Niestety bezpośrednio po tym — podjął oficer po chwili — musieliśmy się zanurzyć i to dość głęboko, bo w pobliżu pojawiły się cztery niemieckie ścigacze i eskadra samolotów. Przetrzymali nas pod wodą około dwóch godzin, a pociski były dobrze adresowane... i padały bardzo blisko naszego okrętu. Odyśmy się wreszcie wynurzyli do zasięgu peryskopu, stwier-

dziiliśmy, że nasze dwa „cele” spoczywają na dnie portu i tylko maszty ich sterczały ponad wodą. Nie mogliśmy jednak wyjść na powierzchnię, gdyż zbyt wiele krążyło samolotów, uparcie nurkując w naszym kierunku.

Następnego dnia rano zablokowaliśmy znów wejście do portu, w oczekiwaniu wroga. Nie zawiedliśmy się, gdyż niebawem ukazało się dwanaście wielkich transportowców, załadowanych wojskiem, czołgami i ciężkim sprzętem bojowym. Konwój eskortowany był przez flotyllę ścigaczy. Otworzyliśmy ogień... Samoloty wroga zaatakowały nas natychmiast z karabinów maszynowych. Na szczęście Niemcy nie mieli widać bomb i dzięki temu mogliśmy spokojnie zanurzyć się.

Kapitan uśmiechnął się z zadowoleniem. — To był nasz piąty patrol, ale pierwsze spotkanie z nieprzyjacielem na morzu. Może pan sobie wyobrazić, jak wielkie miało dla nas znaczenie to spotkanie z Niemcami... Otoż, zanurzyliśmy się w pełnym biegu, biorąc kurs na konwój w celu zaatakowania go z flanki. W ciągu manewru, który trwał około 15 minut wystrzeliliśmy trzy torpedy. Dwa niemieckie transportowce, trafione śmiertelnie, poszły natychmiast na dno, jakby załadowane ołowiem.

Do chwili obecnej ORP „Dzik” zatopił w sumie 42 tysiące ton w czasie swych operacji, tak na Morzu Północnym, jak i na Morzu Śródziemnym.

— Ale wie pan — mówił kapitan — interesującą przygodę mieliśmy w czasie naszego trzeciego kolejnego patrolu na Morzu Śródziemnym. „Dzik” ochraniał wówczas flanki floty inwazyjnej w wyznaczonym miejscu operacji sycylijskich. Płynęliśmy po powierzchni. Załoga uważała, że spokój, jaki panuje wokół, kryje w sobie jakąś niespodziankę. Czekaliśmy w napięciu na flotę włoską i byliśmy do żywego rozczarowani, nie widząc nigdzie

floty nieprzyjacielskich okrętów. Nagle, w niewielkiej odległości od naszej bazy, zauważyliśmy nieprzyjacielską łódź podwodną, która manewrowała z wyraźnym celem zaatakowania innych naszych okrętów podwodnych, płynących po powierzchni w odległości uniemożliwiającej dostrzeżenie wroga. Podpłynąwszy blisko od lewej strony łodzi nieprzyjacielskiej wystrzeliliśmy dwie torpedy. Niestety, wróg dostrzec nas musiał wcześniej i torpedy przeszły ponad nim. Zdążył jeszcze zanurzyć się w ostatniej chwili. Dla „Dzika” było to wielkie rozczarowanie, lecz niewątpliwie uratował on okręty sprzymierzone i świadomość tego faktu osłodziła załogę chybiony strzał.

BANDERA Z TRUPIĄ CZASZKĄ

Bandera z trupią czaszką nad skrzyżowanymi puszczelami, którą widuje się na wielu fotografiach łodzi podwodnych — wywieszona jest tylko wówczas, gdy łódź powraca do bazy. Tło flagi jest czarne z trupią czaszką i puszczelami naszytymi z białego płótna. Podobnie naszyte są podłużne pasy czerwone lub białe, które oznaczają zatopione okręty i statki nieprzyjaciela.

Bandera ORP „Sokół”, drugiego polskiego okrętu podwodnego, tej samej klasy, oprócz innych znaków, posiada jeszcze jakąś dziwną „krzyżówkę”.

„Sokół” jest znacznie starszą łodzią podwodną niż „Dzik” i na jego banderze zanotowane są trofea 32 tysięcy ton nieprzyjacielskiego tonażu, zatopionego w przeciągu dwóch lat upartej walki. Jej dowódca, komandor-porucznik znany jest swym angielskim przyjaciołom pod imieniem „Jerzy”, gdyż jego nazwisko jest zbyt trudne do wymówienia. Miło mi było z jego własnych ust usłyszeć historię wydarzenia, które w rezultacie przyniosło ową „szachownicę” na banderze okrętu.

SIECI GŁĘBINOWE

Sieci głębinowe przeciw łodziom podwodnym — uśmiechnął się. — Sądę — podjął po chwili — że zdarzenie to było naprawdę niezwykle.

— Tak, to bardzo nieprzyjemna rzecz, natknąć się na sieć. Niekiedy z nich są twarde i jeśli niespodzianie w nie uderzysz, nim się spostrzeżesz, już jesteś schwytany i zapóźno na wszystko. Inne są znów tak miękkie i elastyczne, że nim się spostrzeżesz, już cała łódź jest obmołana od stóp do głów. Nasza sieć była miękka i elastyczna. Słyszeliśmy dokładnie jej



Marynarze z ORP „DZIK” na pokładzie ORP „SOKÓŁ” w czasie wyjątkowego spotkania w jednym z portów śródziemnomorskich

ORP „DZIK” po krótkim postoju w porcie wychodzi w nową podróż bojową





Oficer nawigacyjny ORP „DZIK” przy pracy. Koledzy nazywają go „Przetęczką”. Pochodzi z Wilna, przed wojną pływał na statkach handlowych



Kapitan i załoga ORP „DZIK” witają nadpływającego ORP „SOKÓŁ”

szuranie po kadłubie i co gorsza, usłyszeliśmy w pewnym momencie wybuch dwóch, czy trzech min w bezpośredniej naszej bliskości. Może pan sobie wyobrazić, że przygoda nie była przyjemna. Wywikłać się z sieci głębinowych, to uduje się tylko szczęśliwcom. Włączyliśmy „tylni bieg”. Rozpoczął się decydujący manewr. Po długich szamotaninach i męczących zwrotach wreszcie udało się nam wyrwać z matni. Zapewniam pana, że tej sceny, mimo że była interesująca, wolabym nie powtarzać więcej.

— Patrolowaliśmy od dłuższego czasu — ciągnął dalej dowódca — i chociaż spotkaliśmy kilka mniejszych statków, nie atakowaliśmy, rezerwując nasze torpedy dla bardziej tłustej i większej „ryby”. Pewnego

dnia o świcie wypatrzyliśmy na horyzoncie średni transportowiec, który — jak później stwierdziliśmy, wioził amunicję. Podpłynęliśmy bliżej i wpakowaliśmy torpedę w sam środek statku. Wybuch, który nastąpił niemal bezpośrednio po wystrzeleniu torpedy, był tak potężny, że w pierwszej chwili ogarnęła nas obawa o nasz okręt. Ale „skóra” nasza jest twarda i wytrzyma wszystko.

— W kilka dni po tym spotkaliśmy transportowiec z wojskiem — również nad ranem. „Komandosi atakują o świcie...” — zacytował kapitan tytuł głośnej książki.

Sądząc, że Niemcy czuli się nieswojo, zmuszeni do pływania o tak wczesnej godzinie.

— Mieliśmy także pojedynek artyleryjski. Brakło nam torped i jeden z napotkanych transportowców zaczęliśmy ostrzeliwać z dział. Było to pod wieczór w niewielkiej odległości od nieprzyjacielskiego wybrzeża. Statek odpowiedział ogniem z małego działka i z dwóch karabinów maszynowych. Kilka celnych pocisków zmusiło go jednak do wiecznego milczenia... Niestety, baterie nadbrzeżne nieprzyjaciela strzelały bardzo celnie. Gdy pociski padały w odległości 20 jardów od naszego okrętu uznaliśmy, że trzeba szybko, ale i z godnością zanurzyć się w morze.

Niedawno wracając z patrolu „Sokół” zauważył balon zaporowy, pływający na powierzchni. Załoga przycocowała bal-

lon do rufy, co jednak utrudniało nieco sterowanie z powodu dość silnego wiatru.

Okręt eskortujący, który wyszedł na spotkanie polskiej łodzi podwodnej zaskoczony dziwnym i niecodziennym widokiem, zaniepokoił się wyraźnie.

— Czy wy naprawdę jesteście łodzią podwodną? — zasygnalizował kapitan okrętu nieco zgorzchny.

Niemniej jednak „Sokół” jest dumny ze swego wyczynu i z tego, że jest pierwszym na świecie okrętem podwodnym, który próbował „latać”. Załoga natomiast zastanawia się do tej chwili jakim znakiem zarejestrować na banderze rzecz tak niebanalną jak zdobycie... balonu.

ORP „SOKÓŁ” jest starszy od ORP „DZIK” i jego bandera rejestruje 32.000 ton nieprzyjacielskiego tonażu, nie licząc jego zwycięstw w czasie ostatnich operacji na Morzu Śródziemnym

ORP „DZIK” przed nową wyprawą. W czasie swojej dotychczasowej służby zatopił 42.000 ton tonażu nieprzyjacielskiego



Z ostatniego patrolu ORP „SOKÓŁ” wrócił z balonem zaporowym. Jest on niewątpliwie pierwszym okrętem podwodnym, który próbował latać



Dzień Protestu przeciwko prześladowaniom młodzieży w Polsce i w całej okupowanej Europie, młodzież polska na Wschodzie spędziła z Dowódcą APW,

O godz. 8, wóz z chorągiewką zaha-mował przed masztami ze sztandarami wszystkich alianckich narodów. Ośmiu śmiałych kadetów sprezentowało broń. Zagrały fanfary. Nastąpił przegląd zebranych oddziałów junaków, kadetów i miejscowej kompanii P.S.K. Najmłodszy, mimo postawy zasadniczej, uśmiechał się. Starsi stali, jak wmurowani. Ale nie to jest ważne. Generał patrząc w czasie przeglądu w tysiące tych oczu na pewno przypominał, jak to kiedyś, w czasach Guzarów i Buzułuków, ci sami chłopcy przychodzili pod omrozone, żołnierskie namioty i lepianki... przychodzili na pół zamarznięci, ale z twardymi spojrzeniami. Nie prosili o chleb. Prosilili o orzełka na sowiecką czapkę i o „najbardziej stargany” choćby mundur. Dzisiejsi kadeci i junacy przemierzali tysiące kilometrów, ale doszli.

Po nabożeństwie nastąpiła defilada. Kompanie ustawily się do przemarszu w ciągu kilku minut. Generał stanął na trybunie w otoczeniu sztabu i zaproszonych angielskich i polskich gości. Chłopcy ruszyli. Zagrały na asfalcie podkute buty. Głowy zwróciły się w prawo. Na lufach kadeckich karabinów zagrało słońce. Szli szóstkami. Szli, jak najlepiej wyćwiczeni żołnierze. Wszyscy ci osiemnastoletni, pod wąsem, i ci berbecie jeszcze z pierwszych oddziałów szli przejeżdżać. Najbardziej wzruszająco wyglądali najmłodszy. Drobnym krokiem nabrali w tej serdecznej defiladzie swego piękną.

Jutro ci chłopcy zasiądą znowu w szkolnych ławkach i staną przy warsztatach. Ale dziś defilują, wykazują swoją sprawność, dają dowód, że Dzień Protestu przeciwko barbarzyńskiemu niszczeniu młodzieży polskiej nie jest czczym frazesem. Swoim drobnym, bardzo żołnierskim krokiem wykazują wolę walki, a zanim do tego dojdzie — wolę przygotowania się należytego do pójścia w natarcie po zwycięstwo.

Po defiladzie generał Anders wygłosił na chłopięcej akademii mowę. Powiedział między innymi: „Gdy w trzydziestym dziewiątym roku leżałem ranny w lwowskim szpitalu, było to w październiku, przyszedł do mnie mój, dwunastoletni wówczas, syn Jurek. Powiedziałem mu wówczas: nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy, ale pamiętaj zawsze, że jesteś Polakiem. Bądź uczciwy. Dziś, powtórzę to samo wam — bądźcie uczciwi. — Dalej Generał mówił o walce naszej, o sile narodu Polaków, który nigdy nie złożył w tej, jakże już długiej wojnie, sztandaru.

Mali, ci najmniejsi, szybko przeszli z panem Generałem za pan brat. Odnosili się do niego, jak do ojca. Mieli do tego prawo. W czasie akademii Generał powiedział przecież: „Jesteście wolni, możecie się uczyć i żyć po ludzku, dzięki żołnierzom APW. Każdy z was ma prawo mówić do nas: tatusiu”.

Przed odjazdem Generał zwiedził jeszcze szpital. Z każdym chorym porozmawiał. Tam, gdzie była moskitiera opuszczona na łóżko, rozmowa odbywała się przez siatkę. Chorzy długo tej wizyty nie zapomną.

Tak wyglądał u junaków i kadetów APW Dzień Protestu przeciwko prześladowaniu młodzieży polskiej i europejskiej przez niemieckich barbarzyńców.

Młodzież polska, zebrana w obozach-szkolach junaków i kadetów na Wschodzie jest wartościowa i rokuje najlepszą nadzieję. Ta młodzież, która przeszła przez piekło, jakiego nie widziało wiele milionów dorosłych ludzi.

Jerzy Bazarowski



Dowódca i podkomendny w przyjacielskiej pogawędce

Dowódca APW wśród najmłodszych żołnierzy

Korespondencja własna „PARADY”

Kadeci przed trybuną





Święty taniec Umodiko — szczepu Abahutu



Rzeźbiarz okolic Bakuba



I Stanley pojechał znowu. Zabrał tym razem ze sobą dwadzieścia statków, siedemdziesięciu pięciu białych i dużo broni. Już w Afryce dorekruitował dwa tysiące tubylców. Pół lat wędrował po nieznanym, dziesięć tysięcy kilometrów i po raz pierwszy, zawarł umowy z 450 wodzami tubylczymi. Po drodze zakładał faktorie nowego towarzystwa, umacniał je, pozostawiał w nich swych ludzi. Organizował obrzynie Konga. Na miejscu tych faktori znajdowały się drż m. i. miasta Leopoldville, Elisabethville i Stanleyville. W roku 1885 uznany został międzynarodowy statut „Wolnego Państwa Konga”, znajdującego się pod suwerennością króla Leopolda II. Już przed tym jednak Stanley poróżnił się ze swym królewskim współnikiem. Uzyskałszy wielomilionowe odszkodowanie pieniężne, rzekł się na rzecz Leopolda swych praw spółwłasności. Konga przeszło w wyłączne posiadanie króla i w testamencie jego zapisane zostało państwu belgijskiemu. Stanley zmarł w roku 1904, bogaty, odkryty sławą i zaszczytami.

Dzieło Stanleya, stanowiące jedno z największych osiągnięć odkrywczych, jakie kiedykolwiek zanotowała historia, wydało swe owoce. W ciągu paru dziesięcioleci lat Konga przemieniło się w nowoczesną, bogatą, świetnie zagospodarowaną kolonię. Powstały miasta, fabryki, szpitale, szkoły, porty. Niezmierzone bogactwa płynęły z mrocznych puszczy Konga do małej Belgii. Obrzynie kolonia brała też żywy udział w wojnach, toczonych przez swą europejską protektorkę. Już w walkach przeciw Mahdimu, wojska Konga, współdziałając z siłami brytyjskimi, odegrały ważną rolę. Podczas pierwszej wojny światowej, po ciężkich walkach, opanowały one znaczną część afrykańskich posiadłości Niemiec. W czasie wojny obecnej Konga stanowi mocną, nieustraszoną bazę belgijskiego wysiłku wojennego. Swymi olbrzymimi zasobami i swym materiałem ludzkim służy nieprzerwanie sprawie alianckiej. Produkuje, czuwa, śpiewa swą pieśń wojenną, która donośnie brzmi w chórze krajów sprzymierzonych. Wojska Konga wzięły czynny i zaszczytny udział w kampanii abisyńskiej przeciw Włochom, zdobyły twierdzę górską Saio oraz Asosa, biorąc do niewoli 15.000 żołnierzy włoskich, w czym 4 generałów, oraz moc materiału wojennego. W obecnej chwili oddziały Konga znajdują się już po części na Środkowym Wschodzie, po części zaś gotowe są do wymarszu. Bez przerwy płyną z Konga do Anglii i Ameryki statki załadowane tak ważnymi dla produkcji wojennej surowcami i towarami, jak miedź, cyna, bawełna, oleje palmowe, srebro, manganery, kalcuk. Produkcja Konga rozwinęła się niebywale i już dziś czyni z tej kolonii potęgę przemysłową o pierwszorzędnym znaczeniu.

Czarni żołnierze Konga napływają na Środkowy Wschód. Statki, ciężko obciążone surowcami Afryki, płyną ku portom alianckim. Konga belgijskie śpiewa swą pieśń wojenną...

ROMAN FAJANS

KONGO ŚPIEWA PIŚŃ WOJENNA

Nazywał się Henry Morton Stanley, a właściwie John Rowlands. Pochodził z angielskiej, zielonej Walii. Jako mały chłopiec, stracił oboje rodziców. Wycho wali go krewni, ludzie prości i biedni. Od najmłodszych lat przeżywał trudny, awanturniczy. Żył w cichym, odciętym od świata miasteczku walijskim, w małym, skromnym domku nie wystarczającym. Marzył o wielkiej przygodzie, o cudach krajów dalekich, o podróżach. Na początku drugiej połowy ubiegłego stulecia opuścił rodziną Anglię i udał się do ziemi obiecanej wszystkich wódców: Stanów Zjednoczonych. Tam przez dłuższy czas borykał się ciężko z losem. Wiadomo, Ameryka nie podejmowała wówczas emigrantów ze zbyt wąską pieczęcią. Każdy sam, o własnych siłach, musiał przebić się przez życie. Przebił ją więc przez nie, i to nie łatwo, młody Rowlands. Z nie jednego kotła jadł, nieraz pod gwiazdami sypiał. Szedł długą, twarą drogą, która zaprowadziła go do wielkości.

Zakończony różnymi zawodów, spróbował wreszcie swych sił na niwie dziennikarskiej. Zaczął pisać o różnych zdarzeniach, później jednak nabrał niejakiego rozgłosu. Aż wreszcie nadeszła dla Rowlandsa, a raczej już wówczas Stanleya (taki obrał sobie pseudonim), wielka chwila. Między stanami północnymi i południowymi wybuchła wojna tzw. secesyjna. Wojna trwała pięć lat. W roku 1862 Stanley udaje się na front, jako jeden z pierwszych w historii dziennikarstwa korespondentów wojennych. Swymi korespondencjami z frontu tworzył właściwie dopiero reportaż wojenny w wielkim stylu. Tysiące czytelników zaczytują się nim. Stanley staje się sławny, modny, poszukiwany. Po powrocie wiąże się przyjaźnią z amerykańskim potentatem prasowym, fundatorem słynnej nagrody balonowej, właścicielem „New York Herald”, Gordonem Bennettem. Przyjaźń ta miała zadecydować o jego losie.

W Gordon Bennettecie znalazł wreszcie Stanley wymarzonego mecenasa, człowieka młodego i entuzjastę, który, jak nikt inny, miał zrozumienie dla jego zawrotnie śmiałych pomysłów. Gordon Bennett nie cofał się przed żadnym ryzykiem ani wydatkiem, szedł na wszystko, jeśli widział w tym korzyść dla swego ukochanego dziennika. Ze Stanleyem dobrał się znakomicie. Jakby w korcu maku się znaleźli.

W roku 1868 ekspedycja angielska pod

dowództwem Lorda Napiera rusza przeciw Abisynii i jej władcy, nawpół obłąkanemu negusowi Teodorosowi. Gordon Bennett wysłał tam Stanleya, jako korespondenta wojennego. Wyprawa taka nie była naówczas tak prosta, jak dzisiaj. Wymagała wielu przygotowań i trudów. Zanim też Stanley opuścił Amerykę, wojna była już w pełnym toku. Wyruszył on na specjalnie przysposobionym statku, zbrojnym w znaczny zasób wiedzy o kraju, do którego jechał i suto zaopatrzone w dolary. Wyładował w Suez, gdzie znajdował się zarząd uruchomionego na krótko przed tym kabla transatlantyckiego. Wszedł w kontakt z urzędnikami tej instytucji i obiecał im bajoriskie wynagrodzenie, jeśli jego depesze wysyłane będą przed wszystkimi innymi. Umowa została zawarta. Stanley ruszył na plac boju. Przez dłuższy czas dostarczał swemu dziennikowi najświeższych wiadomości. Kabel wywiązał się jaknajsumienniejsze ze swego zadania. Dolary wywierały magiczny wpływ. Stanley zawędrował tymczasem, wraz z angielskim korpusem ekspedycyjnym, aż pod Magdalenę, w któ-

rej zamknął się negus Teodoros. Przekonawszy się po jakimś czasie, że partia jest rozstrzygnięta i że upadek Magdali jest kwestią dni, nie czeka na kapitulację, lecz co koń wyskoczył pędzi do Suezu i nadaje stamtąd depeszę o zakończeniu wyprawy i katastrofie Teodorosa. Zainteresowanie ekspedycją abisyńską było w Ameryce ogromne, to też nadzwyczajne wydanie, jakie „New York Herald” wypuścił natychmiast po otrzymaniu tej wieści, sprawiło nie małą sensację. Żadna inna agencja, żaden dziennik nie o niczym nie wiedział. Co ważniejsze zaś, nie wiedział o upadku Magdali również i ambasada brytyjska w Waszyngtonie. Na odośnie jej zapytanie, Londyn odparł, że i jemu o tym wszystkim nie wiadomo. Po otrzymaniu tej odpowiedzi ambasada zażądała od Departamentu Stanu, by „New York Herald” odwołał fałszywą informację. Zainteresowany przez władze amerykańskie Gordon Bennett odparł, że ręczy głową za jej prawdziwość. Oczywiście, zapewnienie to nie wystarczało ambasadzie brytyjskiej. I nie wiadomo wcale,

na czym byłoby się skończyło, gdyby nie to, że w międzyczasie przyszła mareszce do Londynu, a stamtąd i do Waszyngtonu, oficjalna wiadomość o kapitulacji Magdali i samobójstwie Teodorosa. I co okazało się wtedy? Natychmiast po wyeksponowaniu owej depeszy Stanleya kabel zepsuł się i urzędowa wieść o zakończeniu wyprawy przez parę dni nie mogła być wysłana. Prosty przypadek, dodany do niesłychanej przedsiębiorczości i odwagi dziennikarza, przysporzył Stanleyowi wszechświatowej sławy.

Jest znowu w Ameryce, swej przybocznej ojczyźnie, której przyjmuje obywatelstwo. Złoto sypie się nań garściami. Sława również. Stanley jednak nie lubi odpoczywać. Nie zagraża mu miejsca nawet przez trzy lata. W roku 1871 ma nową okazję i to nie byle jaką. Wielki podróżnik angielski, misjonarz Livingstone, zaginął bez śladu gdzieś w afrykańskiej bruzie. W Anglii i Ameryce poruszenie jest ogromne. Trzeba ratować Livingstone'a za wszelką cenę. Tworzą się specjalne komitety, zebrane zostają ogromne

fundusze. Ale ktoś zdoła podjąć się tej ryzykownej misji? Któż, jeśli nie Stanley? Gordon Bennett montuje mu znowu wyprawę, tym razem jednak łącznie z Anglikami. Zostaje postanowione, że z tej ekspedycji będzie przesyłał raporty nie tylko dla „New York Herald”, ale i dla prasy angielskiej. Stanley wyjeżdża, odbywa przez puszcze Afryki podróż, która kilkakrotnie zbliża go o włos do śmierci i odnajduje wreszcie Livingstone'a żywego w Ujiji, nad Tanganiką, skąd przywozi go do Anglii. Zostaje tam przyjęty, jak bohater narodowy. Jego tournée po starym kraju jest nieprzerwanym pasmem triumfów. Sława jego nie zna granic.

Ale czar afrykańskiej puszczy działał. Poddawszy mu się raz, Stanley nie zdoła się już zeń otrząsnąć. Afryka ciągnie go

i wabi. Już w trzy lata później, w 1874 roku, udaje się tam znowu, aby zbadać niepokojącą tajemnicę Nilu. Tym razem przebywa wszędzie cały kontynent afrykański: 11.633 kilometry i 38 bitew przeciw tubylcom w ciągu 999 dni straszliwych trudów i niebezpieczeństw — oto heroiczny bilans tej wyprawy. A rezultat jej? Odkrycie rzeki Konga. Chciał zbadać niegłębią tajemnicę Nilu, odkrył „Rzekę”, czyli po krajowemu „Konga”. Epokowe to odkrycie miało miejsce 10 sierpnia 1877 roku.

W dwa lata później Stanley jest już w kontakcie z królem Belgów, Leopoldem II. Ten wielki monarcha małego kraju marzył już od lat dwudziestu o Belgii, jako mocarstwie kolonialnym. Nieraz zwracał się w tej sprawie do parlamentu. Wciąż zakreślał na mapie

Afryki puste miejsca, nie zawładnięte jeszcze przez żadne z państw europejskich. Podczas wyprawy Stanleya po Livingstone'a należał do najgorliwszych czytelników jego reportażu. I gdy Stanley powrócił, zaproponował mu transakcję olśniewającą, taką, o jakiej tylko w bajkach mogła być dotychczas mowa. „Pojedziesz znowu”, rzekł doń, „nad wielką rzekę Konga. Założymy wspólnie, we dwóch, towarzystwo eksploatacyjno-kolonialne, którego tylko my dwaj będziemy współwłaścicielami. Ja dam kapitały, ludzi do pomocy, broń, towary, ty zaś — twą wielką wiedzę, nazwisko i szczęście odkrywczy. Zbadasz dokładnie olbrzymie terytoria, z których powrócisz nie dawno i zawieszysz nad nimi chorągiew naszej spółki: Międzynarodowego Towarzystwa Konga”.

Typ kobiety z Dolnego Konga

Grupa dostojników szczepu Bakuba

Muzykanci szczepu Waraga w okolicach Maluby



SIERŻANT FLINCH MA RACJE...

Korespondencja własna „PARADY”

ZDZISŁAW BAU

Jadąc jedną z dziewięciu limuzyn delegatury do małej republiki dzieci polskich, ukrytej w zielonym gaiku na skraju Teheranu dałem sobie słowo, że ani razu nie zadam tam niezwykle oryginalnego pytania — czym zamierzasz zostać gdy podrośniesz? Po pierwsze dlatego, że w okresie wielkich przemian technicznych pytanie to jest nie na czasie i zawody jak konduktor tramwajowy, maszynista, fabrykant landrynek, posiadające szczególną siłę atrakcyjną dla dzieci, mogą zostać zupełnie przekreślone, po drugie, że dzieci raczej nieufnie i niechętnie odnoszą się do osób starszych stawiających podobne niedyskretne, wścibskie i podchwytliwe pytania.

W latach szczenięcych bliższe, dalsze i najdalsze ciotki starałem się spławić najbardziej idiotycznymi odpowiedziami, co mi się zresztą doskonale udawało. (Po takim szczerym wyznaniu widzę uśmiechy radości na twarzach moich przyjaciół).

Sporo czasu minęło od tych wspania-

łych dni, kiedy po raz pierwszy nosłem szorty. Byłbym o nich zapomniał, gdyby nie lektura różnych reportaży, które — obowiązkowo przed wyprawą do obozu przestudiowałem — gdzieś w połowie czytu piętego. Nagle, gdzieś w połowie czytu, jak kolorowe obrazki na bomboniereczkach — wzruszenia różnych, zresztą poczytych, ciotek — niepotrzebnie tylko przelane na cierpliwy papier są poniżej wszelkiego, tolerowanego poziomu. Za przekroczenie go powinno się karać kłębieniem na grochu, albo wymiarem bardziej surowym, zmuszeniem do odpowiedzi na pytanie — czym zamierzasz zostać, jeśli podrośniesz? Napewno pomyślą się w zeznaniach.

Dla rozwiania wszelkich podejrzeń

stwierdzam, że bynajmniej nie jestem zwolennikiem buntu najmłodszych, że bynajmniej nie uważam dzieci za mądrzejsze od nas — nie jestem skrajnie pesymistycznym poglądu, że tylko przez usta milusińskich przemawia mądrość. Ale stoję na skromnym stanowisku, że nie należy głupimi pytaniami prowokować jeszcze głupszych odpowiedzi i co najgorsze uwieczniać je na papierze, którego mamy tak mało.

Za chwilę zapukamy do bramy obozu piętego. Stylowa, norweska krystianka na śliskim, mokrym żwirze zatrzymujemy się przed wejściem. Wita nas pani kierowniczka.

Jest godzina 10. Dzieci właśnie rozpoczęły drugie śniadanie. Mała Zosia na mój widok szybko chowa jajeczko w

piąstce i biegnie za drzewo. A wzrokiem pyta panią, czy wypada gościom jeść pomidora. Następnego dnia jestem jakby zawieszony w powietrzu. Szybko jednak następuje odwrót, nożyczki. Dzieci są nieoniemielone i speszzone, ale podrywają się automatycznie, ale nie omieszkać. Szybko jednak następuje odwrót, nożyczki. Dzieci są nieoniemielone i speszzone, ale podrywają się automatycznie, ale nie omieszkać.

A aparat fotograficzny powiniennem być spotkanie z Tadzikiem. Nie muszę chyba przypominać, że Tadzio był dumą i maskotką firmy i autorytetem. Jako przyjaciel zdobywałem sobie natychmiast

Tadzio bardzo zdziwił się, co mi się stało od razu powiedziałem, że mi się wydawało, że w mundurze i wysoki

Pan rotmistrz obiecał mi — wrócić do niego. Tadzio, — że jak pułk pójde, rze, może mu pan przypomni — mi. — Przecież to nie dla mnie towaru. — dodaje wskazując bez większego cunku na swych kolegów. — Jak się się z mnie, mówią że rotmistrz

Obiecuje solennie, że cała grupa przedstawi rotmistrzowi. Idziemy dalej, małe aleje wysiadają młodymi topolami łącząc schody, ciutkie domki o ścianach kryjących się mianymi matami, rozrzucone kłosa białego dworku, w którym kiedyś mieszkała wdowa po jakimś perskim dyktarzu dworskim. Poznaję prawdziwą stróż tego obozu, (protestuję przeciw nazwie). Przemawia do nas jakby ciętkliwą nutą, zagubioną dla wielu z ostatnich lat. Jestem pewien, że tu i dzieci z różnych krańców Rzeczypospolitej odnalazło tu w drodze ciepła ogniska domowego.

Przy małym basenie, w którym chlapali się razem z żabami, poznałem zarego Lipskiego. Czarus, jak go wszyscy nazywają. Czarus jest teraz na szczęśliwym dzieckiem w całym Teheranie. Dostał list od tatusia z Anglii. Tatus jest sierżantem-lotnikiem. Od 1930 roku nie miał wiadomości o dziecku i żonie. Pierwszą wiadomość otrzymał dopiero teraz przez Czerwony Krzyż. Czarus nosi przy sobie airgraph, który nie może jeszcze przeczytać, literki takie małe — ale który mu kilka razy dziennie czyta dobry ksiądz katolicki. I Czarus ma stale żyć w oczach. Z radości. Bo piękny jest list tego lotnika o dziecku. Pełen tkliwych, prostych, miłych nabrzmiałych słów o tym, że wkrótce będą razem, żeby Czarus dzielnie się trzymał, że napewno razem odnajdą musie, która została w Rosji.

Sierota Małgosia też odnalazła ojca. Zaadoptował ją Anglik, sierżant Flinch. Niestrudzenie znosi jej różne kłopoty, koszulki, sukienki, wkuwa po kilka godzin dziennie polskie słowa, by po polsku porozmawiać ze swą córeczką. Nieskończoność chodzą do Ogniska na wykład p. Górszczyka, słucha z wylętną uwagą i trochę zażenowanym uśmiechem.

Postanowił zainteresowaniem dla sprawy polskich spłacić dług za nabyte prawa ojcowskie. Ten dług, jak twierdzi, kocha Małgosię i że jakby inne.

Uwagę moją zwraca grupa dziewczyn, które trzymają się wyraźnie na boku. Mają krótko ostrzyżone włosy, nieśmiało spojrzeń i szarą, ziemistą cerą. Inne dzieci wołają na nie nie Rosjanki. Inne dopiero przed kilkoma dniami przyjechały z Aszchabadu. Wanda, która ma ładniutką brunetkę o perkatym nosie, wielkich, czarnych oczach, dygnęła obronnie i szybko, gwałtownie, jakby obawiając się, że słowa nie nadają za myślenie zaczęła opowiadać o swych przeżyciach.

O tym, że kiedy zabrakło nauczycieli starsze dziewczynki przez kilka miesięcy łowskim prowadziły przez kilka miesięcy sierociniec (podobno podobno nieoficjalnie porządkie się przy tym dostawało załowały pasa), o dramatycznej nocy, którą rozdzielały dwa Persji. Jest co złowrogi, że wyjazd do Persji — o nocy, innej, drugi, że jednak jada, — o nocy, ścianach, łóżkach, troskach, które mnie spraw małych i wielkich, które zwały na wiotkie barki tych dziewczyn i powtórzyłem sobie w duchu słowa sierżanta Flincha — że polskie dzieci są jakby inne od innych. I dodałem — by starsi byli tacy...



Zosia tańczy



Urszulka deklamuje

60 godzin — TO KRES PODRÓŻY NA NASZYM GLOBIE

Lotnictwo pracuje dla wojny i dlatego mimo, że jesteśmy już w epoce cywilizacji powietrznej — nie zdajemy sobie w pełni z tego sprawy. Romanizm dali, patos tysięcy kilometrów — należało do przeszłości. Jeszcze nasi dziadkowie jeździli rozstawnymi kółkami, dylżansami, a koleje żelazne były dla nich legendą. My doczekaliśmy się swojego rodzaju bankructwa przeszłości. Geografia, której nas uczyli w szkole właściwie już nie obowiązuje. Okazuje się np., że z San Diego do Algieru nie jest 9.240 mil, a tylko 6.210, jeżeli leci się samolotem.

Czy wiecie, że tak małe są ziemskie przestrzenie, iż nie ma na kuli ziemskiej miejscowości, której nie moglibyście osiągnąć w 60 godzinach lotu z waszego obecnego m. p.? 60 godzin to jest kres wszelkiej ziemskiej wędrówki, nigdzie dalej nie można polecieć. Wszystkie do niedawna najbardziej fantastyczne odległości zredukowały się do kilku, czy kilkunastu godzin lotu: Nowy Jork—Berlin: 20 godzin, Waszyngton—Moskwa: 24 godziny, Nowy Jork—Londyn: 17 godzin.

Prasa amerykańska podaje, że w wielkich zakładach lotniczych mimo, że oddane są one dziś całkowicie na produkcję wojenną — nie ustaje praca nad studowaniem problemów pokojowej komunikacji lotniczej. Osiągnięto już poważne wyniki i krótko po wojnie zostaną wszystkie zaskoczenia, gdy epoka powietrzna objawi się nam nagle w całej swej fantastycznej potęgze.

W San Diego w zakładach Consolidated Aircraft Corporation budowano laboratorium lotnicze dla studiów nad lotnictwem stratosferycznym, gdzie pro-

by odbywają się w temperaturze 100 stopni poniżej zera.

Powstaje nowa cywilizacja powietrzna, powietrzni ludzie i nowa mentalność. Czy wiecie, że Atlantyk jest tylko... 400 minut szeroki?

Jeden z amerykańskich pilotów fabrycznych ma za sobą w tej chwili około 30.000 godzin lotu. Innymi słowy spędził on dwa i pół roku swego

życia w powietrzu. Ziemia się kurczy, odległości maleją, ale część swego życia przeniesiemy w sferę „nadziemską”, w powietrze.

Amerkanie zapewniali, że po wojnie system komunikacji lotniczej będzie jednym z tych nowych zdobyczy, które wpłyną decydująco na bieg historii ludzkości. Odbrymni rozwój lotnictwa daleki jest od osiągnięcia maksimum tylko bajką.

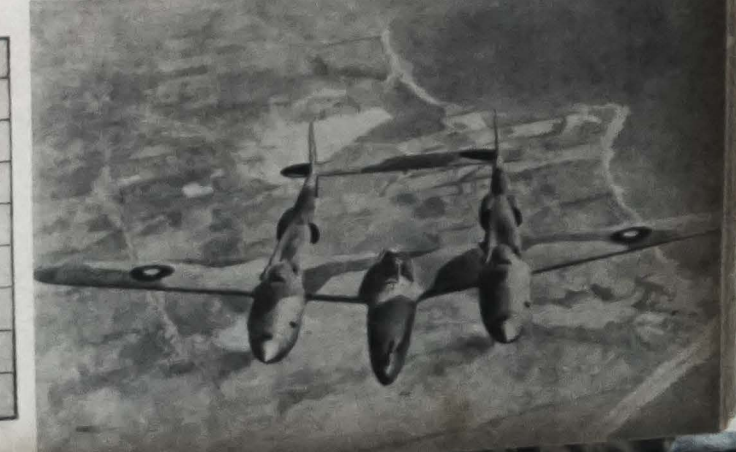
natężenia. Wprost wierzyć się nie chce, lecz cytujemy z obowiązku dziennikarskiego wiadomość, że w jednej z wielkich firm lotniczych Stanów Zjednoczonych studiuje się projekt samolotu komunikacyjnego, któryby miał szybkość fal głosowych. Ktoś powie: bajka. Wszakto, co dziś jest faktem w dziedzinie lotnictwa, jeszcze wczoraj było tylko bajką.

Najszybszy samolot bojowy świata. Nowy Lockheed, P-38 „Lightning”-USAF. Szybkość 450 mil na godzinę — pułap 35.000 stóp



Tabela odległości lotniczych

Z	DO	MILE LOTNICZE	GODZ
New York	Berlin	3960	20
Chicago	Singapore	9365	47
New York	Capetown	7801	39
San Francisco	Wellington	6759	34
Washington	Moskwa	4883	24
Londyn	Rome	887	4½
New York	Londyn	3460	17
Londyn	Berlin	574	3



P A R A D A K S I A Ż E K

UNIA ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ EUROPY

Książka Szułdrzyńskiego *) odpowiada potrzebom chwili jak żadne inne polskie wydawnictwo. Patrzymy w linie frontów, patrzymy na mapę kontynentu, czytamy dzienniki, słuchamy wiadomości radiowych. Nie trzeba być zawodowym politykiem, aby wyczuwać wagę sytuacji. Wpatrujemy się w przyszłość najbliższych miesięcy i zadajemy sobie co dzień dziesiątki twardej pytań. Coraz trudniej znaleźć na nie odpowiedzi, coraz trudniej przychodzi myśleć konstruktywną związać przyszłość z teraźniejszością. Wydaje się, jakby coraz ciemniej było przed nami i niepewniej.

Książka Szułdrzyńskiego nikogo nie pocieszy. Autor umocni jeszcze czytelnika w tym przekonaniu, że przeżywamy okres decydujący, który przyniesie rozstrzygnięcie, czy mamy być jako wielki naród i państwo — czy też zniknąć raz na zawsze z politycznej karty kontynentu europejskiego. Książka ta formułuje jasno, prosto i zwięźle odpowiedzi na te wszystkie pytania, które budzą się w każdym z nas w związku z chwilą obecną. Inni słowo precyzyjnie ona ogólnie, ale i zasadniczo wytyczne naszej polityki — jedynie właściwie, którą realizować musimy, jeżeli chcemy żyć. Von Clausewitz wypowiedział pogląd, że zasady sztuki wojennej są w istocie swej niezmienne proste. Sprowadzają się bowiem zawsze do kryteriów tzw. zdrowego rozsądku. Trudności rozpoczynają się dopiero w chwili taktycznego realizowania.

Podobnie jest z polityką. Zasadnicze jej elementy są proste i jasne. Trudności natomiast związane są z taktyką realizacji. Polska leży między Rosją a Niemcami — między dwoma rywalizującymi potęgami imperialistycznymi. W związku z tym faktem mamy przed sobą trzy możliwości, ale tylko jedną drogę: albo z Niemcami, albo z Rosją, albo niepodlegli i samodzielni. Ani z Rosją, ani z Niemcami — to jest tak oczywiste, że zbędne są jakiegokolwiek argumenty. Istnieć możemy jedynie jako państwo samodzielne z własną ideą polityczną i dziejową.

Nie potrzebujemy ani cudzych wzorów, ani nie musimy szukać wśród nas samych proroków nowego politycznego credo. Bo jak słusznie powiada Szułdrzyński: „nasza myśl państwowa niesie ze sobą pełne zrozumienie tej prawdy historycznej, że naród polski jest i był nosicielem wielkich idei, idei, której realizacja obejmuje nie tylko Polaków, ale spłata w jeden wielki system polityczny wszystkie narody między Niemcami a Rosją, dla których, tak samo jak dla nas, polityczna racja stanu wyraża się w słowach: ani Niemcy, ani Rosja”.

Idea państwa federacyjnego, związkowego — systemu politycznego dużej miary, któryby gwarantował bezpieczeństwo całej środkowo-wschodniej Europy — jest naszą polityczną ideą dziejową. Autor omawianej pracy wypunktował, że idea niepodległościowa była kontynuacją polskiej idei państwowej, a naszą myśl polityczną po rozbiorach (polityka Hotelu Lambert) łączyła odbudowę państwa polskiego z niepodległością Węgier i Rumunii.

Po tych samych wytycznych szła polityczna myśl Piłsudskiego. Polska o jaką walczył przez całe swe życie, to miała być Polska tradycji jagiellońskich. Umowa z Petlurą, polityka wobec Litwy, wypływały z świadomości dziejowego nakazu, że „Polska jeżeli chce istnieć, musi narody łączyć, a nie odpychać je lub podbić, musi we wspólnym systemie państwowym tworzyć taką siłę polityczną, która czyniłaby realnym wysiłek przeciwstawienia się sąsiadom, którzy od wieków państwo polskie od wschodu i zachodu niszczy”.

Nie zdołaliśmy zrealizować tego programu. Nie mniej nie wolno nam zejść z tej wielkiej drogi historycznej, bo tylko ona da nam może bezpieczeństwo i trwałość państwową.

Wojna obecna dostarczyła wiele interesującego materiału do rozważań i studiów na temat problemu „siły” państw i narodów. Widzieliśmy wielkie i bogate państwa, które ważyły się jak domek z kart pod pierwszym uderzeniem niemieckich dywizji pancernych. Państwo, które mam na myśli, dysponowało nie mniejszą ilością czołgów niż Niemcy w pierwszym okresie działań — a mimo to załamało się, uległo — nie posiadało „siły”.

Na czym polega „siła” Wielkiej Brytanii? Na pewno nie tylko na RAFie i

Royal Navy. Był czas, że w Londynie znoszono strzelby myśliwskie na cele obrony, a Churchill mówił przez mikrofon BBC: „będziemy bronili naszej wyspy za każdą cenę, będziemy bili się na ulicach, w portach, w zatokach, na polach i wzgórzach — nie poddamy się nigdy”. A więc nie RAF i nie Royal Navy dają tę „siłę” — nie elementy betonu i stali wiązały te dalekie i różne kraje w ów mądry British Commonwealth.

Wetny przykład inny: Niemcy. Na przestrzeni ćwierćwiecza Niemcy po raz drugi zmobilizowali przeciw sobie doświadczenia całego świata.

Niemcy są tylko mocni. Brak zmysłu współpracy, brak wszelkich koncepcji politycznych — prowadzi ich nieuchronnie do klęski. Wojna ta po obu stronach jest w pewnym sensie wojną „przeciwko granicom”. Wielko-przestrzennym koncepcjom sprzymierzonych przeciwstawiają Niemcy swój „nowy ład” europejski. Lecy w istocie nie mają żadnej idei politycznej. Europa w piątym roku „współpracy” z nimi jest zjednoczona przeciw Rzeszy. Umieli zniszczyć starą Europę, nie umieli jednak stworzyć nowej. Dziś nikt nie wątpi, że Rzesza znajduje się u progu dziejowej katastrofy.

Silny nie dają tylko czołgi — znacznie łatwiej jest wyprodukować czołg niż wychować obywatela — znacznie łatwiej jest wystawić dywizję pancerną, niż stworzyć mądrą koncepcję polityczną. I jeżeli prawdą jest co mówi von Clausewitz, że „wojna jest tylko polityką prowadzoną innymi środkami” — to trzeba stwierdzić, że Niemcy są zły strategami.

Patrząc na takie narody jak Brytyjczycy dochodzi się do wniosku, że „siła” jest w pierwszym rzędzie konstruktywna idea i powszechna wola obywateli zmierzająca ku jej realizacji. Można nie mieć czołgów, lub mieć ich mniej niż przeciwnik i być silnym — można być uzbudowanym po zęby i być słabym.

Przytoczyłem powyższe przykłady, aby odpowiedzieć na pierwsze refleksje jednego czytelnika książki „Dziejowa Idea Państwa Polskiego”. Dziś gdy sytuacja strategiczno-polityczna jest taką jaką jest, dziś gdy cały nasz kraj od lat 4 okupują Niemcy, gdy teatr wojny zbliża się powtórnie ku naszym ziemiom — my dziś występujemy z planem stęderowania ponad 80 milionów ludzi, stworzenia unii środkowo-europejskiej od Bałtyku po Morze Czarne i Adriatyk? Niejednemu świadom naszej ciężkiej sytuacji pomyśli: gdzie nam dziś występować z taką olbrzymią inicjatywą — zadowolnijmy się czymś mniejszym, skromniejszym. Są i tacy, którzy w znużeniu i depresji powtarzają: było tylko wrócić, było nas nie zagarnęli, było nie narzucili wrogiemu ustroju, było znów nie wywozili...

Nie będziemy nikogo pocieszać. Wojna obecna — każdy z nas to dobrze wyczuwa — stanowi punkt zwrotny w naszych dziejach i stawia przed nami w całej gromie doprawdy seksplirowski dyalekt: to be or not to be — być, albo nie być. My — nasze pokolenie będziemy świadkami decyzji: czy Polska będzie istnieć, czy też wymazana zostanie z rzędu niepodległych narodów. Sądzę, że trudno było szukać w dziejach pokolenia, które byłoby obarczone większą niż my odpowiedzialnością. Musimy przeto wydobyc z siebie maksimum siły i determinacji. Siła — to inicjatywa, to myśl konstruktywna i wola wprowadzenia jej w czyn. Musimy zdać sobie sprawę z faktu, że wojna ta winna przynieść rozstrzygnięcia trwałe, zasadnicze i wielkie. Europa nie może być co 20 lat teatrem wojny, a naród polski — sądzić nie przetrzymałby drugiego takiego kataklizmu. Musimy raz wreszcie uzyskać bezpieczeństwo istnienia i rozwoju nie na lat kilkanaście, ale na szereg pokoleń.

Sytuacja jest trudna, ale z drugiej strony trzeba powiedzieć, że nie przedkornie przyjdzie chwila takiej płynności stosunków na kontynencie — chwila, kiedy po upadku Niemiec odbudowywać się będzie od podstaw system polityczny Europy.

Polska na tym kontynencie jest państwem problemowym i bez naszego współudziału politycznego można Europę podzielić na dwie strefy wpływów: rosyjską i niemiecką. Oznaczałoby to, że póki jest przegrany, że na Zachodzie w poglądzie na Europę nie zmieniło się nic od Kongresu Wiedeńskiego z 1815 r.

Jakkolwiek Anglia jeszcze w okresie traktatu wersalskiego uważała Polskę za strefę wpływów niemieckich, a później rosyjskich (r. 1920) — jakkolwiek i dziś jeszcze publicystyka angielska wraca cza-

sem do „wiedeńsko-wersalskiego” poglądu na Europę środkowo-wschodnią — to jednak jest coraz więcej oznak na Zachodzie, coraz powszechniejsza jest opinia, że podział na dwie strefy wpływów kryje w sobie perspektywę wielkich niebezpieczeństw dla pokoju i ładu politycznego świata.

Dlatego stwierdzić należy, że z jednej strony stoimy w obliczu niebezpieczeństwa — z drugiej jednak mamy szansę zrealizowania polskiej idei państwowej w jej historycznych wymiarach.

Wspomniałem, że wojnę tę określićby można jako: „wojnę przeciwko granicom”. Wydaje się rzeczą niewątpliwą, że wkraczamy w epokę procesu scalania politycznego i gospodarczego. Albo więc utworzymy z innymi narodami, o pokrewnej racji stanu, wielki system polityczny — albo sami znajdziemy się w obrębie obcego nam wielkiego systemu politycznego.

Jakie w związku z tym są polityczne cele tej wojny dla narodu polskiego? Autor omawianej książki formułuje je w sposób następujący: „Jeżeli naród polski chce wyjść zwycięsko z tej wojny, musi podjąć inicjatywę stworzenia dużej miary systemu państwowego, gwarantującego bezpieczeństwo rozwoju całej środkowo-wschodniej Europy. To jest zadaniem Polski — to jest główny cel Polski w tej wojnie.”

„Potrzebą naszą jest w pierwszym rzędzie związanie w środkowo-wschodniej Europie w unii państwowej wszystkich narodów, które kierują się tą samą o Polską racją stanu: ani z Niemcami — ani z Rosją. Dlatego obszar tej unii wymaga jasnej granicy tak od strony Niemiec jak i od strony Rosji. Zachodnią jego granicą biegnie wzdłuż Polski, Czech, Słowacji, Węgier i Jugosławii (Chorwacji) — od Bałtyku do Adriatyku. Te kraje tworzą zachodni mur graniczny. Wschodnią linię graniczną tworzy wschodnia granica krajów bałtyckich, Polski i Rumunii. Te dwie linie wyznaczają obszar o wspólnych państwowych interesach. Kraje te stanowią całość polityczną — obszar racjonalnej unii środkowo-wschodniej Europy — unii, mającej możliwości rozszerzenia się na południu wśród państw półwyspu Bałkańskiego, a na północy naturalnego sprzymierzenia w państwach skandynawskich”.

Innymi słowy owa wspólność racji stanu i interesów w środkowo-wschodniej Europie obejmuje: Polskę, Rumunię, Węgry, Słowację, Czechy, kraje bałtyckie i Słowian południowych. Z tymi krajami Polska powinna stworzyć unię państwową. Autor podkreśla, że nie idzie o luźną federację oddzielnych państw, ale o jeden związek państwowy kilku narodów. Celem takiej unii — tytuł autora — jest: „1) stworzenie politycznego bezpieczeństwa w środkowo-wschodniej Europie, 2) danie możliwości narodom związkowym pełnego, niezależnego rozwoju narodowego, kulturalnego i gospodarczego.”

Program jest jasny — idea jest wspólna. Wydaje się oczywistym, że jest to jedyna droga, aby uporządkować polityczne oblicze Europy i skończyć definiowanie z poglądami, że między Rosją a Niemcami istnieje jakieś „dzikie pola”, bezpański obszar, który może być przedmiotem ekspansji wielkich mocarstw. Ustabilizacja wreszcie dociepanie tzw. małych państw do wielkich systemów politycznych. Narody wchodzące w związek środkowo-europejski mogłyby bujnie niż dotychczas żyć własnym nurtem narodowym i kulturalnym — uwolnione od wpływów niemieckich, czy rosyjskich. Sądzę, że jeżeli chodzi o realizację tego programu bodaj, że na plan pierwszy wysuną się trudności natury emocjonalnej. Pierwszym warunkiem powstania unii jest wyrzeczenie się skrajnego nacjonalizmu. W państwie związkowym polityczna racja stanu. Nikt nie ma na myśli wyrażania się własnej narodowości, która wyrażać się będzie w kulturze narodowej i politycznych instytucjach i urzędach zinstytucjonalizowanych państwowym statutami. Musimy jasno zdać sobie sprawę, że lepiej uszczuplić swoją nacjonalistyczną suwerenność, zyskać natomiast warunki swobodnego rozwoju i bezpieczeństwa, niż być wprawdzie nacjonalistycznie 100 procentowo suwerennym państwem, lecz nie mającym możliwości obrony przed potężnymi sąsiadami od wschodu i zachodu.

My siebie samych zwiemy patriotami — obcy oskarżają nas czasem o „szowinizm” — „imperializm”, tendencję do wynaradawiania itd., nie chcąc pojąć, że nasz okrzyknięty przez nich „reakcyjny patriotyzm” był jedynie zdrową reakcją narodu, który nie chce umierać, lecz przeciwnie chce żyć i potęgować. Odybaliśmy nie byli takimi patriotami, jakimi jesteśmy, dawno by już nas nie było. Bylibyśmy rozpylnili się w stepie rosyjskim i wsiadli w industrialną strukturę Niemiec.

Jeżeli ta wojna ma mieć jakiś sens, to musi przynieść trwałe rozstrzygnięcia — zmiany istotne, a nie pozorne. Za zmniejszeniem nacjonalizmu trzeba przyjąć zasadę, że nie można odbudowywać niezawisłości narodów jedynie na pomocy z zewnątrz. Unia narodów Europy środkowo-wschodniej będąca samoistną organizacją państwową, stanowiłaby definitywne zerwanie z koncepcjami na wzór Małej Entente¹⁾. Europa środkowo-wschodnia przeobraziłaby się w mozaikę państw-dziecipek do takich czy innych mocarstw, a stałaby się równorzędnym partnerem w polityce światowej.

Pewne zdziwienie, jakie dały swych politycznych perspektyw budzi w czytelniku mądra książka Szułdrzyńskiego jest miarą, jakim przemianom uległa psychika współczesnego Polaka. Jakim innym musiał być pogląd polityczny Polaka, Litwina, Rusina czy Inflantyńczyka — w epoce przedrozbiorowej. Wieleletni proces dziejowy wytworzył więź wspólnoty kulturalnej i politycznej i ci różni ludzie uważali się wszyscy za obywateli Rzeczypospolitej, która była państwem związkowym, względnie stanami zjednoczonymi środkowo-wschodniej Europy. Była to jedyna w swoim rodzaju federacja najróżnorodniejszych elementów rasowych, narodowych i wyznaniowych.

Jak słusznie zauważa, w jednej ze swych prac, Władysław Mazowiecki — zaborcy uczynili wszystko, aby rozzerwać owa wspólnotę wytworzoną w ciągu czterowiekowego procesu dziejowego. W ostatnich czasach świadomość polityczna Polaka, Rusina czy Litwina ulegała zapaści przemianom. Koncepcje comenialistyczne Polski-Litwy-Rusi zastąpił ideał państwa narodowego zazdroznego o swą suwerenność. Poczęła niestety zwyciężać atomizacja nad syntezą — elementarny puryzm nad ideą państwową w jej dziejowych wymiarach.

Tym, którzy powiedzą, że idea unii Europy środkowo-wschodniej wywołać może w pewnych stolicach „zadrżnienie” odpowiadamy, że nie występujemy z jakimś utopijnym planem, ale po okreśsach doświadczeń wracamy do koncepcji dawniej, tradycyjnej koncepcji państwa narodowego. Książka Szułdrzyńskiego jest zarówno monografią tej polskiej idei dziejowej jak i inicjatywą. Z radością należy stwierdzić, że na łamach emigracyjnej prasy litewskiej i ukraińskiej coraz częściej ukazują się artykuły zgodne z duchem pracy Szułdrzyńskiego.

Książka ta w wielu sprawach przerywa okres polskiego milczenia i to jest jej najważniejszą wartością.

Juliusz Mieroszowski

*) Jan Szułdrzyński — *Dziejowa Idea Państwa Polskiego* — Biblioteka „Orla Białego” — Jerozolima 1943.

Noc. Nic — ani księżyc, ani gwiazd, żadnego przeblasku światła, żadnego jaśniejszego refleksu. Daremnie wzrok usiłuje przesyłać zapórę — zwartą, gęstą, zapełniającą przestrzeń, zalewającą ziemię i niebo nieprzeniknąłą gęstwą. Widość jest mierna, że niesposób dojrzeć własnych rąk. Wydaje się, że wszystkie złe, czarne moce zbiegły się i sprzegły się z sobą w nieodpartym władaniu nad światem.

Pustynia śpi głębokim snem zmartwiałego w odrętwieniu żywiołu. Tylko lekki, chłodny wiatr nabiera garście piachu i rozpyla je równomiernie, bezprzestannie. Odpoczywa w natężeniu i ogniu żyjąca pozycja: dzienny dialog artylerii, dźwięczny szczebiot broni maszynowej minęły bez pogłosu, nieodczuwana racja stali — wyczerpana. Obie linie, ząbione wzajemnie, czuwają, nabierając oddechu za umocnieniami i polami minowymi. Złowieszcze milczenie — to czasokres naprawy uszkodzeń, uzupełnienia strat, poczynienia rekonesansu.

Korowód cieni zwolna posuwa się po zszarzałym terenie. Cichutko, bezszelestnie, jak duchy błądzące po cmentarzysku. Niewyraźne sylwetki idących rzędem ludzi, jeden tuż za drugim, zlewają się z czernią tła. Gumowe buty tłumią odgłos kroków. Lekki szmer, poszumowi wiatru podobny, kroczy za osobliwym pochodem, jak widomy znak jego materialnego istnienia.

Plutonowy Nadolny przyciska mocno do boku Tommygun. W kieszeniach kombinizonu i w parciowym woreczku wyczuwa beczenny ciężar nabo i granatów. Jest piąty z rzędu: na przodzie kroczy dowódca patrolu ppor. Michalski, w tyle jego zastępca plut. Budnik. Sąsiadów trudno rozróżnić, raczej można się ich domyślić po chodzie. Oddział stara się naśladować przewodcę. Każdy krok, każdy ruch musi być skorygowany do minimum, opanowany i zdecydowany. Nieznaczny uchybieniem można spowodować bolesne następstwa. Gra idzie o najwyższą stawkę — warto być rozsądnym.

Nadolny, zdeterminowany, skupiony jest i zwarty w sobie, aczkolwiek rezonuje w przyspieszonym tempie. Przez mózg starego wygi patrolowego galopuje tabun nieuporządkowanych myśli. Tak, dzisiejsze przedsięwzięcie jest daleko inne od poprzednich — bardziej ważne i niebezpieczne! Przekonał się o tym na odprawie u dowódcy baonu. Zadanie wyszczególnione jasno. Dowódca twierdził: To-bruk, rozkazał dokonać wypadu w celu pojmania jeńca. Dotychczasowe wyprawy, w tym, oddziałów kawalerskich, kończyły się fiaskiem. Próby zaostreżyły czujność wroga. Tym razem przedsięwzięcie wszelkie, pozostające do dyspozycji środki bezpieczeństwa. W nieznacznej odległości od patrolu właściwego miał posuwać się patrol osłaniający pod dowództwem ppor. Sanickiego. Obserwator artyleryjski, oficer, miał czuwać na punkcie nr 9 i w razie dostrzeżenia umówionego znaku, położyć ogień na najgroźniejsze konkrety wroga.

Wąska, ledwie dostrzegalna ścieżyna urwała się nagle. Za przewodnika służył teraz taśma, wiodąca poprzez własne i dawne, porzucone, nieprzyjacielskie pola minowe. Utrzymanie nieodzownej ciszy wymagało wiele zręczności: skłębione zasieki upstrzone były nieżytkami metalowymi, przeważnie puszkami po konserwach, służącymi jako środek alarmowy. Za umocnieniami droga wiodła do pozycji wroga, odległej w krętej linii około 800 metrów.

Dalszą drogę przebywali żołnierze w szyku rozwinętym, jeden nieopodal drugiego. Kilku w myśli liczyło kroki. Kpr. Lustrzan — saper, wysunął się naprzód. Czołgając się, rozczapierzonymi rękami badał grunt przed sobą. Nurzał dłoń w chłonnym, syplim piasku, doszukując się twardej gleby. Nagle psyknął przeciągle. Patrol zbliżył się i na kolanach,

dosłownie ramię przy ramieniu, skrzętnie usuwał zastawione w ziemi niebezpieczeństwo. Odzie niegdzie, w asymetrycznym rozrzucie, z pod piasku i dzikich wyrostów pustynnych sterczały różki zapalników. Pole, zasiane minerskimi wazykami wszelkich naciskowych, odciągowych i zrywowych kombinacji, zdające się nie mieć końca, wymagało morderczej, wyczerpującej pracy. Żołnierze rozbroili je, mina za miną, oswabdzając kilkumetrowej szerokości chodnik. Saperzy przeciągnęli taśmę orientacyjną i pozostali na miejscu dla naprowadzenia patrolu na drogę powrotną.

Pozostali pociągnęli naprzód. Przywardo do ziemi, pełzając, zdobywali konse-

kwę oświetliły pozycję. Włos, zaskoczeni, zdeorientowani, uciekali panicznie, porzucając broń, amunicję i oporządzenie. Zbiegła i obsługa Bredy. Patrol jednym susem znalazł się przy stanowiskach. Wywłazała się walka wręcz, na bagnety, na pięści. Tu i ówdzie szamotało się, kłuto, nawoływano. Nadolny niewiele orientował się w tym chaosie. Biegł za innymi szukając czerniejących się mundurów Włochów.

Przed oczami przewijały się błyskawicznie fragmenty walki. Widział, jak jakiś drab schwycił ppor. Michalskiego za nogę i wciągnął do rowu. Przeciwnicy zwarli się zaciekle w śmiertelnych zapasach. Włoch jedną ręką ścisnął gardło

WYPRAWA
PO JEZYK

OPOWIADANIE
JAN KIELEWICZ

wentnie przestrzeń. Z napiętymi nerwami i wyostrozonymi zmysłami wpijali się wzrokiem w ciemność, wdrażali słuchem w ciszę. Wyzwoliły się w ludziach instynkty — pomniejszone dziedzictwo prymitywu, przez atawizm przekazywane z pierwotnością. Podstęp, ostrożność, zdecydowanie, walka.

Zatrzymali się na chwilę po przebyciu drutu alarmowego. Na tle nieba majaczyły przysadkowaty garb Medauaru. Przez lornetę dojrzeć można było na jego zboczach sylwetki poruszających się ludzi. Czołgający się, z zapartym tchem łowili płynące z wiatrem odgłosy. Bez trudu rozróżnić można było rozmowy i metaliczne dźwięki: w obozie wroga krzątano się, spożywano posiłek, wykonywano jakieś prace. Trzeci szperaczy, wysłanych na zwady, wróciło niebawem bez szczególniejszych spostrzeżeń. Nie było przeszkód. Ppor. Michalski naradził się szeptem z Nadolnym. I znowu czołganie się naprzód, tym razem z pomnożoną uwagą, z bronią gotową do strzału. Już teraz wyraźnie słychać było stuk łopát i kilofów. Włosi — jasne było — kopali rowy dobiegowe, ciągnący się od podnóża góry, aż do przeciwniejszej skarp. Było ich około trzydziestu.

Plut Nadolny i st. strz. Łukaszewicz, obaj znajdujący się na prawym skrzydle patrolu, wysunęli się na czoło. Podciągając się, upstrzone były nieżytkami metalowymi, przeważnie puszkami po konserwach, służącymi jako środek alarmowy. Za umocnieniami droga wiodła do pozycji wroga, odległej w krętej linii około 800 metrów.

Dalszą drogę przebywali żołnierze w szyku rozwinętym, jeden nieopodal drugiego. Kilku w myśli liczyło kroki. Kpr. Lustrzan — saper, wysunął się naprzód. Czołgając się, rozczapierzonymi rękami badał grunt przed sobą. Nurzał dłoń w chłonnym, syplim piasku, doszukując się twardej gleby. Nagle psyknął przeciągle. Patrol zbliżył się i na kolanach,

dosłownie ramię przy ramieniu, skrzętnie usuwał zastawione w ziemi niebezpieczeństwo. Odzie niegdzie, w asymetrycznym rozrzucie, z pod piasku i dzikich wyrostów pustynnych sterczały różki zapalników. Pole, zasiane minerskimi wazykami wszelkich naciskowych, odciągowych i zrywowych kombinacji, zdające się nie mieć końca, wymagało morderczej, wyczerpującej pracy. Żołnierze rozbroili je, mina za miną, oswabdzając kilkumetrowej szerokości chodnik. Saperzy przeciągnęli taśmę orientacyjną i pozostali na miejscu dla naprowadzenia patrolu na drogę powrotną.

Pozostali pociągnęli naprzód. Przywardo do ziemi, pełzając, zdobywali konse-

kwę oświetliły pozycję. Włos, zaskoczeni, zdeorientowani, uciekali panicznie, porzucając broń, amunicję i oporządzenie. Zbiegła i obsługa Bredy. Patrol jednym susem znalazł się przy stanowiskach. Wywłazała się walka wręcz, na bagnety, na pięści. Tu i ówdzie szamotało się, kłuto, nawoływano. Nadolny niewiele orientował się w tym chaosie. Biegł za innymi szukając czerniejących się mundurów Włochów.

Przed oczami przewijały się błyskawicznie fragmenty walki. Widział, jak jakiś drab schwycił ppor. Michalskiego za nogę i wciągnął do rowu. Przeciwnicy zwarli się zaciekle w śmiertelnych zapasach. Włoch jedną ręką ścisnął gardło

WYPRAWA
PO JEZYK

OPOWIADANIE
JAN KIELEWICZ

wentnie przestrzeń. Z napiętymi nerwami i wyostrozonymi zmysłami wpijali się wzrokiem w ciemność, wdrażali słuchem w ciszę. Wyzwoliły się w ludziach instynkty — pomniejszone dziedzictwo prymitywu, przez atawizm przekazywane z pierwotnością. Podstęp, ostrożność, zdecydowanie, walka.

Zatrzymali się na chwilę po przebyciu drutu alarmowego. Na tle nieba majaczyły przysadkowaty garb Medauaru. Przez lornetę dojrzeć można było na jego zboczach sylwetki poruszających się ludzi. Czołgający się, z zapartym tchem łowili płynące z wiatrem odgłosy. Bez trudu rozróżnić można było rozmowy i metaliczne dźwięki: w obozie wroga krzątano się, spożywano posiłek, wykonywano jakieś prace. Trzeci szperaczy, wysłanych na zwady, wróciło niebawem bez szczególniejszych spostrzeżeń. Nie było przeszkód. Ppor. Michalski naradził się szeptem z Nadolnym. I znowu czołganie się naprzód, tym razem z pomnożoną uwagą, z bronią gotową do strzału. Już teraz wyraźnie słychać było stuk łopát i kilofów. Włosi — jasne było — kopali rowy dobiegowe, ciągnący się od podnóża góry, aż do przeciwniejszej skarp. Było ich około trzydziestu.

Dalszą drogę przebywali żołnierze w szyku rozwinętym, jeden nieopodal drugiego. Kilku w myśli liczyło kroki. Kpr. Lustrzan — saper, wysunął się naprzód. Czołgając się, rozczapierzonymi rękami badał grunt przed sobą. Nurzał dłoń w chłonnym, syplim piasku, doszukując się twardej gleby. Nagle psyknął przeciągle. Patrol zbliżył się i na kolanach,

dosłownie ramię przy ramieniu, skrzętnie usuwał zastawione w ziemi niebezpieczeństwo. Odzie niegdzie, w asymetrycznym rozrzucie, z pod piasku i dzikich wyrostów pustynnych sterczały różki zapalników. Pole, zasiane minerskimi wazykami wszelkich naciskowych, odciągowych i zrywowych kombinacji, zdające się nie mieć końca, wymagało morderczej, wyczerpującej pracy. Żołnierze rozbroili je, mina za miną, oswabdzając kilkumetrowej szerokości chodnik. Saperzy przeciągnęli taśmę orientacyjną i pozostali na miejscu dla naprowadzenia patrolu na drogę powrotną.

Pozostali pociągnęli naprzód. Przywardo do ziemi, pełzając, zdobywali konse-

kwę oświetliły pozycję. Włos, zaskoczeni, zdeorientowani, uciekali panicznie, porzucając broń, amunicję i oporządzenie. Zbiegła i obsługa Bredy. Patrol jednym susem znalazł się przy stanowiskach. Wywłazała się walka wręcz, na bagnety, na pięści. Tu i ówdzie szamotało się, kłuto, nawoływano. Nadolny niewiele orientował się w tym chaosie. Biegł za innymi szukając czerniejących się mundurów Włochów.

Przed oczami przewijały się błyskawicznie fragmenty walki. Widział, jak jakiś drab schwycił ppor. Michalskiego za nogę i wciągnął do rowu. Przeciwnicy zwarli się zaciekle w śmiertelnych zapasach. Włoch jedną ręką ścisnął gardło

WYPRAWA
PO JEZYK

OPOWIADANIE
JAN KIELEWICZ

wentnie przestrzeń. Z napiętymi nerwami i wyostrozonymi zmysłami wpijali się wzrokiem w ciemność, wdrażali słuchem w ciszę. Wyzwoliły się w ludziach instynkty — pomniejszone dziedzictwo prymitywu, przez atawizm przekazywane z pierwotnością. Podstęp, ostrożność, zdecydowanie, walka.

Zatrzymali się na chwilę po przebyciu drutu alarmowego. Na tle nieba majaczyły przysadkowaty garb Medauaru. Przez lornetę dojrzeć można było na jego zboczach sylwetki poruszających się ludzi. Czołgający się, z zapartym tchem łowili płynące z wiatrem odgłosy. Bez trudu rozróżnić można było rozmowy i metaliczne dźwięki: w obozie wroga krzątano się, spożywano posiłek, wykonywano jakieś prace. Trzeci szperaczy, wysłanych na zwady, wróciło niebawem bez szczególniejszych spostrzeżeń. Nie było przeszkód. Ppor. Michalski naradził się szeptem z Nadolnym. I znowu czołganie się naprzód, tym razem z pomnożoną uwagą, z bronią gotową do strzału. Już teraz wyraźnie słychać było stuk łopát i kilofów. Włosi — jasne było — kopali rowy dobiegowe, ciągnący się od podnóża góry, aż do przeciwniejszej skarp. Było ich około trzydziestu.

Dalszą drogę przebywali żołnierze w szyku rozwinętym, jeden nieopodal drugiego. Kilku w myśli liczyło kroki. Kpr. Lustrzan — saper, wysunął się naprzód. Czołgając się, rozczapierzonymi rękami badał grunt przed sobą. Nurzał dłoń w chłonnym, syplim piasku, doszukując się twardej gleby. Nagle psyknął przeciągle. Patrol zbliżył się i na kolanach,

W SZEREGACH PADYSZACHA

JERZY GROBICKI

(Dokończenie)

Kuczyński oddał mu ręką ukłon po wschodniemu i rzekł:

— Witaj Hassan effendi. Mów, co masz do powiedzenia...

— Panie — raportował Kurd, z trudnością łapiąc powietrze. — Całe wojsko arabskie ciągnie od Nedjaffu na Kerbelę... Są i wahabici... Kął trąbić alarm, zamknąć wszystkie bramy i pousztawiać straż, gdyż jeszcze w ciągu nocy jakieś wysunięte oddziały mogą starać się dostać nieopatrzenie do miasta... Onali nas mocno, aż pod same mury... Straciliśmy dwu ludzi...

— Spocznij... Spisałeś się dzielnie, za co cię Najjaśniejszy Pan w Stambule odpowiednio wynagrodzi... — zaczął Kuczyński, ale Kurd nie dał mu skończyć, gdyż z ust jego wyrwał się okrzyk: „Padyszah'm czok jasz'a!” i jak długi zwał się nieprzytomny u nóg swojego pułkownika.

— Zawołaj askierów, niech zaniósą do lazaretu... Gdzie doktor Gromnicki?... Niech go zaraz opatrzy... — rozkazał Kuczyński... A gdy kilku kawalerzystów podniosło rannego i zaniósło na dół, zwrócił się do Pruskiego:

— Kął natychmiast zaalarmować cały garnizon. Bramy zamknąć i niech bimbaszi Ogulu wystawi przy nich warty ze swojej piechoty. Pułk przygotować do marszu... O świcie ruszamy.

— Nie poczekasz na ten batalion z artylerią? — zapytał rotmistrz od niechcenia.

— Kto pierwszy uderza, ten ma zawsze wszelkie szanse na zwycięstwo... Gorąco będzie, jak mówił Iliński, ale my się tego gorąca nie przestraszymy. Wzorem Czarnieckiego wrogów liczyć będziemy po bitwie. Ufaj w swoją przewagę Arabowie nie spodziewają się teraz żadnego ruchu zaczepnego z naszej strony. Uderzymy na nich, a gdy nadejdzie piechota z artylerią, pójdziemy na Nedjaff i Kułę i całe powstanie stłumiemy w zarodku — mówił gorączkowo Kuczyński. I jakby ze smutkiem dodał:

— My sami w imię wolności powstajemy przeciwko carowi, a tu zbieramy się, by tłumić powstanie Arabów przeciwko tyranii sułtana. O ironio losów... — I biorąc

szablę pod pachę i nakładając fez na głowę, zaczął schodzić po schodach na dół.

W pobliżu, trąbki kawalerii poczęły grać na alarm, a z ulic miasta dochodził głos dużego bębna, którym zwoływano na zbiórke redyfów miasta Kerbeli, mających bronić bram wejściowych przed nawałą pustynnej dzicy.

Porucznik Lisikiewicz, jak zwykle bezczynnie leżąc, rozparty na poduszkach w pokoju adiutantskim, został niemiłe zbudzony z półsnu przez ostre szarpnięcie za ramię. Marszcząc czoło podniósł jedną powiekę i ujrzał przed sobą zakurzonego i okrwawionego oficera kawalerii tureckiej, z głową owiniętą zakrwawioną szmatą. Chciał coś powiedzieć, udając oburzonego, lecz dzięki wyglądowi twarzy oficera i błyszczące w gorące oczy powstrzymały go od niewczesnych żartów, czy uwag. Podniósł się zatem i udając zdziwionego zapytał:

— Jak się masz Olesiu... Cóż to? Spadłeś z konia?...

Porucznik Jarmoliński skrzywił usta, a nie puszczając ramienia adiutanta warknął:

— Prowadź mnie do paszy...

— Pasza śpi — bronił się przestraszony adiutant.

— Bismillahi Rachmane Rachim! — zaklął po arabsku Jarmoliński, ściskając ramię Lisikiewicza — idź natychmiast meldować, bo ci łeb rozwalę...

Wymuskany adiutant zniknął za kotarą, gdzie pozostał pewien czas, po czym uchylając ją, zaprosił Jarmolińskiego do środka.

W sypialni paszy, od czasu bytności w niej pułkownika Kuczyńskiego, niewiele co się zmieniło. W przyćmionym pomieszczeniu, w powietrzu wisiały cikiwy

zapach oparów alkoholowych i tylko stołeczki damasceńskie ustawione były tym razem w porządku, naokoło okrągłego stołu, na którym widniała naczynie do gotowania kawy i stała sławna „luneta”.

Pasza siedział po turecku na kilku poduszkach. Widać było, że nie całkiem jeszcze minęły skutki ostatniej libacji alkoholowej. Niechętnym wzrokiem popatrzył na Jarmolińskiego, który trzymając w lewym ręku szablę, a prawą przyłożywszy do czoła, stał w przepiśowej postawie, na baczność, czekając na pozwolenie, aby się zameldować.

— Gadaj — po turecku warknął Iliński, naumyślnie, czy też nie poznając Polaka pod tureckim mundurem.

Jarmoliński z pasją przymrużył oczy i nie odejmując ręki od czoła, raportował po polsku:

— Dnia wczorajszego o świcie, Arabowie wspomagani przez wahabitów z południowej pustyni napadli na Kerbelę. Pułk nasz, prowadzony przez swojego dowódcę wyszedł im naprzeciw i starał się odeprzeć od murów miasta. Pięciokrotnie chodziliśmy do szarży, ale przewaga była wielka i wreszcie musieliśmy wycofać się w stronę Al Musaiibu, gdzie resztki pułku bronią przeprawy przez Eufrat. Kerbela oblężona, broniąca jest tylko przez redyfów bimbaszego Ogulu. Jeżeli obiecany batalion i artyleria nie nadejdą zaraz, to pułk nie zdziurzy u przeprawy i Arabowie jutro, albo pojutrze znajdą się pod murami Bagdadu. Straty bardzo duże... Pan rotmistrz Pruski wystąpił mnie do pana paszy z meldunkiem i prośbą o jak najrychlejsze wsparcie...

Iliński patrzył na niego, jakby nie rozumiejąc o co chodzi, wreszcie podniósł się z poduszki i podchodząc bliżej zapytał:

— Rotmistrz Pruski, mówisz?... A co on ma do gadania? Gdzie dowódca pułku?... Pozostał w Kerbeli?

Jarmoliński nie od razu odpowiedział na pytanie, wreszcie prostując się jeszcze bardziej, zameldował:

— Dowódca pułku nie ma... Pozostał na polu bitwy...

— Jak to?... Wzięty do niewoli — rzucił się Iliński.

— Nie, panie generale... Pułkownik Kuczyński zginął w czwartej szarży... Nie zdołaliśmy uprowadzić jego ciała...

Cybuch od fajki wypadł z rąk Ilińskiego. Pasza chwycił porucznika za pas od ładownicy i trzęsąc nim krzyknął:

— Pułkownik Kuczyński zginął?... Jak to się stało? Mów...

Jarmoliński cofając się pod naporem następującego nań paszy, meldował urwanyimi słowami:

— W czwartej szarży zreorganizowany pułk liczył już tylko trzy szwadrony... Dwa naszych dotąd zginęło, porucznik Wężyk i porucznik Piotrowski... Ja już wtedy też byłem ranny, ale jakoś się w siodle trzymałem. Askierzy dobrze się bili, ale przewaga Arabów była wielka, szczególnie wahabitów — wielbłądów, którzy długimi dzirytami naszych kłuli, podczas gdy my nie mogliśmy ich dobrze sięgnąć szablami... Tylko z karabinka można było takiego ściągnąć...

Otóż w tej czwartej szarży kilkunastu wahabitów obokoczyło pułkownika, pod którym się koń rozpart... Tłok był taki, że nie mogliśmy się do niego przedostać i na naszych oczach rozsiekali go jataganami... Ody się trochę luźniej zrobiło, zebrałiśmy znowu kilkudziesięciu ludzi i rotmistrz Pruski poprowadził ich w to miejsce, gdzie pułkownik zginął... Ale nie, prócz zabitego konia i dużej kałuży krwi nie znaleźli... Widocznie wahabici ciało z sobą, jako zdobycz, w triumfie uwieźli...

Tu głos porucznika załamał się. Iliński osunął się na tapczan i ujął głowę w dłonie. Milczenie trwało przez pewien czas, po czym pasza szepnął:

— Tak... Dziś Michał, jutro inni... Co raz mniej tych, co przed Kostusiem tańczyli... Nikt z nas nie wróci... Nikt...

Jarmoliński czekał chwilę, po czym odezwał się:

— Gdyby ten batalion i artyleria przybyły na czas, tak jak było obiecano, to by tego nieszczęścia nie było...

Iliński oderwał dłonie od twarzy i chciał porucznika, po czym od niechcenia zagadnął go:

— Jaki batalion, jaka artyleria? Jarmoliński popatrzył na paszę z przynym zdziwieniem, po czym odparł:

— Jak to? Te, które pan generał obiecał trzy dni temu przysłać pułkownikowi na pomoc, a które nie nadeszły.

I tu straszne podejrzenie zakradło się do mózgu Jarmolińskiego... Przysłać do paszy, nachylił się nad nim i patrzył mu wprost w oczy, zapytał:

— Pan generał... Pan generał nie wydał rozkazu w tym względzie... Tak?

Iliński milczał i widać było po jego płach potu, występujących mu na czołach krople potu, że mógł jego pracuje z całym napięciem. Wreszcie zerwał się i na całe gardło wrzasnął:

— Lisikiewicz!

Na progu sypialni ukazał się przestraszony adiutant.

— Dlaczego batalion redyfów i bateria Kerbeli?... — zawołał pasza.

Lisikiewicz zrobił zdziwioną minę i wzruszając ramionami odparł niepewnie:

— Nie było rozkazu, panie generale... Ja nic nie wiem... Może Achmet Bey — tłumaczył się.

— Woni!... — krzyknął Iliński, chwytając naczyniem od kawy. Następnie spojrzał na Jarmolińskiego i mruknął:

— Idź już... Wiem, co o mnie myślisz i masz rację... Zamelduj rotmistrzowi, że batalion i bateria zaraz ruszą... Niech Allah prowadzi cię w spokoju...

Jarmoliński skrzywił usta. Chciał widocznie coś powiedzieć, ale namiętnie się przyłożył rękę do czoła, nie mówiąc uczynił zwrot na pięcie i wyszedł z sypialni.

Iliński jeszcze chwilę stał na środku pokoju, po czym zwał się na tapczan. Płecami jego zaczęły wstrząsać spazmy, a usta szeptały:

— La Illa Allah... Matko Najświętsza... Ukazr mnie pijaką i zapracana... Zapomniałem... Zapomniałem wydać rozkaz.

Długo tak leżał, modlił się i kiął.

Wreszcie, gdy przyszło nań uspokojenie, zawołał Muchę, a gdy stary żołnierz stanął przed obliczem swojego pana, uważał, że w duszy jego musiała nastąpić jakaś głęboka zmiana, gdyż twarz Ilińskiego wyrażała żelazne postanowienie i posiadała dawny, energiczny wygląd, który od kilku lat pod wpływem nadużycia wódki, już zatracił. Generał podszedł doń i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Wiesz stary, w kraju szykuje się powstanie...

Mucha kiwnął głową i mruknął:

— Taj, już od samego naczelnika Kościuszki w kraju nic innego nie robią, jak tylko powstania i powstania...

Iliński uśmiechnął się i klepiąc go po ramieniu, odparł:

— Czas na nas stary... Zbieraj graty, miejsce nasze nie tutaj... Wracamy do Polski...

Mucha otworzył usta i stał tak chwilę niby rażony gromem, po czym składając ręce, jak do modlitwy, wyszeptał:

— Mój Boże!... Nareszcie...

— „Po arabsku: „W imię Boga Wszemocnego”.

Wyżej opisaną wypadki polegają o gólnie na faktach autentycznych, przyczem nazwiska nie zostały zmienione.

Iskander Pasza-Iliński nie dojechał do Bagdadu na malarie, którą zaraził się w Bagdadzie.

OKŁADKA: ORP „SOKÓŁ” po wykonaniu zadania wchodzi do jednego z portów śródziemnomorskich. Nad wieżyczką powłose bandera z trupią czaszką i skrzyżowanymi szablami, — na której zaszczytowane są zwycięstwa odniesione w walce. Fot. Lambton Burn

Str. 3, 4, 5 i 6: fot. Lambton Burn

Str. 7: fot. Malinik

Str. 10 i 11: fot. W. Ostrowski

Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI



Hołd Pruski

Autoportret artysty

Pół wieku temu, 1 listopada 1893 roku, zmarł w Krakowie JAN MATEJKO. Każdemu z nas od dziecka znane są historyczne obrazy tego wielkiego malarza i Polaka. Sienkiewicz i Matejko przekazali nam wizję naszej historycznej wielkości — uczyli nas dziejów Polski i umiowania tradycji. „UNIA LUBELSKA”, „BATORY POD PSKOWEM”, „BITWA POD GRUNWALDEM”, „HOŁD PRUSKI”, „SOBIESKI POD WIEDNIEM” — to może najbardziej znane płótna historyczne artysty. Swą twórczością mówił Matejko Europie, w okresie niewoli, o wspaniałej przeszłości naszej Ojczyzny, o polskiej kulturze i zadaniach jakie ma ona do spełnienia. Proponowano Matejce wysokie stanowiska zagranicą — on jednak pozostał do końca życia w ukochanym przez siebie Krakowie, gdzie najpełniej wyczuł mógł atmosferę historyczną naszej przeszłości. Niemcy zrabowali najcenniejsze nasze dzieła sztuki, w tym wiele obrazów matejkoskich. Upomniemy się o nie jak i o ołtarz Włta Stwosza zrabowany z Kościoła Mariackiego. Dziś patrząc na obrazy tego wielkiego artysty może głębiej niż dawniej wyczuwamy ich wiecznie aktualną moc.



Wernyhora



Rysunek



Dzwon Zygmunta



POLACY W FORCIE CORREGIDOR

Spotkaliśmy się przypadkowo u Ritza. Siedzieliśmy obok siebie na wysokich krzesłach barowych, popijając każdy swój „Gin-lemon & Soda”.

Mój sąsiad miał na rękawach trzy trójkąt z literą T. Oznaczało to, że był sierżantem technikiem. Amerykanin dość beczernie mówił i niezdyscyplinowanie przyglądał się moim zielonemu naszywkowi — wreszcie zarzyknął:

— Pan jest Polakiem?

— Tak.

— Byłem długo wśród Polaków. Spędziłem z nimi najpotworniejszy okres mojego życia. Nie wiem, co dziś z nimi? — uśmiechnął się smutno.

— Gdzie to było? — zapytałem.

— W fortach Corregidora.

Amerykanin nie zawożył mojego zdziwienia. Zamówił dwa nowe „Gin & Lemon” i po chwili zaczął mówić szybko, z wyraźnym wzruszeniem:

— Tunel Malinta, z którego Corregidor był broniący, jest piekłem. Byliśmy bombardowani dniami i nocą. Nie było już jedzenia, nie było stódkiej wody, nie było środków opatrunkowych, lekarstw, amunicji. Tunel wypelniony był potwornym zapachem gangreny... Pan nie wie, co to jest odór gangreny — odór zakażonych ran. Wszyscy na to umierali. Broniliśmy się, wiedząc, że przed nami nie ma już nic, tylko śmierć. Nie było już Filipin — padł wreszcie Baatan, od którego dzieliły nas trzy mile wody i pozostaliśmy tylko my — fort Corregidor.

Zatoga Corregidora składała się z znacznej mierz z wojsk amerykańskich, które przed wojną stacjonowane były w okolicach Kanatu Panamskiego. Był to najlepszy żołnierz, w ogromnym procencie zawodowy — świetnie wyszkolony i twardy. Bez nich Corregidor nie byłby Corregidorem. W formacjach tych było kilkunastu Polaków — obywateli amerykańskich, zawodowych żołnierzy.

Przeleż wy wszyscy, poza cywilnym waszym fachim, jesteście zawodowymi żołnierzami — nie? — uśmiechnął się.

U nas, w armii amerykańskiej, wśród zawodowych żołnierzy, jest bardzo wielu polskiego pochodzenia. Wie Pan — nie sądzę, abym kiedyś spotkał lepszych żołnierzy, niż ci, co bronili Corregidora.

Amerykanin zamilkł. Piłiśmy nasz „Gin & Lemon” paląc papierosa.

— To jest nie do opisania, to piekło — podjął po chwili. — Ja jestem również zawodowym wojskowym — ale... urwał nagle i zaklął niezrozumiale.

— Wie Pan — Polacy na Corregidorze mówili o Westerplatte. Tylko tam, w tym gdańskim fortecie może nie było tej przeklestej gangreny, no i Corregidor to były miesiące, a nie tygodnie, czy dni. Polacy byli jak z żelaza. Niekiedy z nich umieli już tylko po parę słów polskich, ale byli zawsze wrażliwi na wymowę swych trudnych, słowiańskich nazwisk. Urodzeni żołnierze może jednak choć część ich przetrzyma i powróci do Stanów. Wiele z nich zginęło na skutek gangreny. Nawet najłżejsza rana była groźną na Corregidorze.

Szliśmy ku Nilowi. Amerykanin mówił o młodej siostrze Czerwonego Krzyża, z którą wziął ślub w dniu Bożego Narodzenia w twierdzy Corregidor. Dziewczyna została w forcie. Miała przy sobie dozę trucizny. Wie, że nie zobaczy jej już więcej.

Przed mostem rozstaliśmy się. Chciałem się z nim umówić — wyczuwałem, że chłopak wywiózł z Corregidora nie tylko osobistą tragedię, ale i szczerą sympatię dla Polaków. Niestety nazi jutro odlatywał.

Corregidor... Wszystkie twierdze i wszystkie fronty świata wymościłiśmy naszymi kośćciami.

m m m

Tłoczono w Zakł. Graf. AL-HILAL w Kairze dla Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F. Printed in Egypt by AL-HILAL, Cairo, for Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F.

Wyd. Wydawn. Prop. i Ośw. Dwa A. P. W. Adr. Red.: Polish Forces M. E. 20 Publishers: P.R., G.H.Q. Polish Army in the East. "Parade" Polish Forces M. E. 20



MATEJKO-STEFAN BATORY POD PSKOWEM - ROK 1581